

Nie potrafię znaleźć słów, którymi byłbym w stanie w sposób parlamentarny określić materiał opublikowany przez Gazetę Polską, w zdecydowanej większości nie konsultowany ze mną. Nie zamierzam też wypowiadać się na temat jego niesłychanej treści, ani jej komentować. Załączam natomiast nieco tylko zredagowaną, autoryzowaną rozmowę z dziennikarzem GP, która, wbrew zapowiedzi, nie stała się częścią tego materiału. Jest ona będzie moją jedyną wypowiedzią na temat kontaktów z SB, jakie miałem w przeszłości. Dopuszczam wykorzystanie jej, jako mojej deklaracji w tej sprawie.

-----

Jest prawdą, że na początku lat 70-tych, gdy zacząłem wyjeżdżać za granicę, zgodziłem się nieopatrnie na kontakty z SB i na podpisywanie się pseudonimem. Jeśli nie liczyć groteskowości tej sytuacji, nie widziałem w tym wtedy nic szczególnego. Deklarację wierności systemowi podpisywało się przecież przed każdym wyjazdem za granicę. To, że w mojej pracy naukowej miałem okazję do takich wyjazdów, jak przypuszczam, było powodem, dla którego stałem się jednym z tych, którzy znaleźli się na celowniku służb. Trzeba pamiętać, że "potykanie się" o SB bardzo często było losem osób, których życie w jakiś sposób odbiegało od ustalonych norm. "Dyskretna" obecność służb, to element krajobrazu tamtych lat, podobnie jak wystawianie w kolejkach i mnóstwo innych, obecnie egzotycznie brzmiących niewygód. Na przykład, wiadomo było powszechnie, że wyjeżdżający za granicę byli wzywani, aby porozmawiać o tym, co tam robili, ale nikt oczywiście o tym nie opowiadał na prawo i na lewo. W tamtym systemie, podwójne życie z wielu powodów funkcjonowało jako cywilizacyjna norma.

A dlaczego spotykałem się z panami z SB? Właśnie dlatego, że SB było elementem PRL-owskiego krajobrazu. Podobnie, teraz teczki stały się elementem krajobrazu III RP. Po części wynikało to też z ewolucji moich poglądów po kolejnych kryzysach społecznych i politycznych, patrząc wstecz na Poznań i Budapeszt 1956 i po Pradze 1968 (byłem wtedy w Czechosłowacji), czy Grudniu 1970. Szczególnie odczułem to, co przydarzyło mi się tuż przed Marcem 1968 r. Pracowałem w uczelnianym radiowęźle i spotkały mnie spore nieprzyjemności z powodu krytycznej audycji, której treści już nie pamiętam. W efekcie, kiedy nadeszły wydarzenia Marcowe, zabroniono mi dostępu do mikrofonu. I tak, przez lata wyrobiłem w sobie bardzo mocne przekonanie, że nawet jeśli konfrontacja może przynieść pożądany skutek, to i tak negocjacje i kompromis są lepsze. Uzyskanie efektów może trwać dłużej, ale są one trwalsze i droga do nich pozostawia mniej niepotrzebnych ofiar.

Uznałem więc, że trzeba poradzić sobie z tą sytuacją poszukując kompromisu, który byłby dla mnie do zaakceptowania. Chodziło przede wszystkim o to, aby trzymać się elementarnych zasad przyzwoitości. Mam tu na uwadze przyzwoitość rozumianą uniwersalnie, a nie tą, którą definiuje taki czy inny system polityczny. Tak więc, parę razy do roku, na ogół przy okazji moich wyjazdów za granicę, ale nie tylko, rozmawiałem z ludźmi z SB.

Podczas tych kontaktów, nikt mi nie groził, nie szantażował i do niczego nie zmuszał. Był grzeczny pan, była sympatyczna rozmowa na najrozmaitsze tematy, także pytania o konkretne osoby - tak to wyglądało. Rozmawiając z tymi ludźmi, starałem się formułować i przekazywać sygnały i sprawy, o których i tak było przecież powszechnie wiadomo. Kiedy pytano mnie o osoby, starałem się trzymać prostej zasady: mówić mało, dobrze, ogólnikowo, albo nie mówić nic. Po prostu starałem się zachowywać konsekwentnie i pragmatycznie, a pojęcia takie, jak "donoszenie", czy "donos" zwyczajnie nie istnieją w moim zbiorze recept na życie.

W kontaktach z SB w końcu przyszedł taki moment, w którym nakreślone przeze mnie granice zostały w sposób oczywisty przekroczone. Już w czasach Solidarności, mój miły rozmówca zapytał o kolegę, który był jej ogromnie aktywnym, wojującym działaczem. Odpowiedziałem, że na ten temat nie będę rozmawiał, ponieważ cokolwiek nie powiem, zaszkodzi koledze. I to był ostatni raz, kiedy zobaczyłem tego pana i wogóle kogokolwiek z SB. Potem przyszedł grudzień 1981 roku.

Miałem jechać na dłuższy czas za granicę i sądziłem, że po tej rozmowie o wyjeździe mogę zapomnieć. Ku mojemu zdumieniu, jednak wyjechałem, nie wiedząc oczywiście, że wrócę dopiero 10 lat później.

W perspektywie, myśląc czasem o wszystkim, co mnie spotkało w przeszłości, pozostaję w zgodzie z własnym sumieniem. Oczywiście, różne rzeczy można było zrobić inaczej, być mniej naiwnym i ostrożniejszym, ale żeby to wszystko naprawdę zrozumieć, trzeba by się przenieść do lat 70-tych, 80-tych. Przedstawianie tych czasów jedynie w czerni i bieli z pewnością nie jest pomocne.

Świadome udzielanie informacji na szkodę innych osób jest w sposób oczywisty naganne w każdych warunkach. Tyle wie każdy, przynajmniej w teorii. Jednakże, podpisuję się pod myślą, którą napotkałem w kontekście Rewolucji Francuskiej i w której znajduje się mnóstwo treści: „Gdy pamięć zatruwa lud, wybawieniem jest zapomnienie” - tylko oprawić i postawić na biurkach polityków dookoła świata. Stworzenie możliwości zaglądania do życia prywatnych ludzi w majestacie prawa i bez ich wiedzy i zgody, definitywnie nie jest symptomem prawidłowo funkcjonującej demokracji.